

I/865

Mieczysław Wierzbicki "Żwirko".

 **ARCHIWUM WSCHODNIE**

Urodziłem się w 1920 r. Rodzice moi mieszkali na kolonii Długoleka, od strony Kulesz. Nie pamiętam dokładnie 1939 r. Gdy przyszli Sowieci to pracowałem na lotnisku w Długolece i w Dównarach. Woziłem tam kamienie na ich budowę.

Dobrze znałem Antka Cylwika. Był z mojego rocznika. Znałem też innych chłopaków, którzy potem zginęli.

Do NSZ-tu wstąpiłem jeszcze za Niemców w 1944 r. Wciągnęli mnie koledzy. Przysięgę składałem na podwórzu u jakiegoś gospodarza. Dbbierał ją Józek Kupiec.

W 1945 r. to pamiętam jak rozbroiliśmy oddział WP w Kuleszach. Nie wiem dokładnie kto tam był na tej akcji, bo ludzie byli z siatki z różnych wiosek. Poszliśmy pieszo wieczorem i otoczyliśmy wieś. Ja dostałem od kogoś, kto rozdawał broń, kabeka. Akcja przebiegła bez jednego wystrzału. Nie wiem dokładnie jaki był jej przebieg bo stałem razem z innymi, takimi jak ja z siatki, na obstawie.

Przypominam sobie, że na kol. od strony Penskich mieszkał jakiś Krzysztof, który potem zginął, ale co my tam z siatki mogliśmy wiedzieć.

Mnie aresztowali w czasie pacyfikacji Długoleki 11 października 1946 r. Wzięli mnie z domu nad ranem. Wszystkich z kolonii brali po kolei. Wyprowadzili nas na gościⁿiec i czekaliśmy, aż dołączy do nas grupa prowadzona z drugiej strony wsi. I razem nas wszystkich poprowadzili do domu na kol. do Poducha. Jeszcze było ciemno. Dokładnie nie widziałem, ale mogło nas być ze 30-tu. Można było uciec z tej pułapki. Jeden gość zapytał się żołnierzy czy można się załatwić. Wojskowe widać musi jeszcze możliwe chłopcy byli, bo jeden z nich powiedział: Tak, tylko, żeby na nas wiatr nie wiał. - No i ten ktoś poszedł a potem wrócił, tak, że

uciec można było.

U Poducha trzymali nas na podwórku. Kazali wchodzić do stodoły, trzeba było podać nazwisko i kazali wychodzić i stawać albo po lewej albo po prawej stronie. Matula przyniosła mi kawałek chleba i słoniny. Zaraz popędzili nas do pociągu. Kobiety szły za nami i krzyczały: Bandyty - do nich, że nas zabrali, to oni strzelali kobietom nad głowami. Ile krzyku było. Kobiety aż do Krypna za nami szły. Gdy zawieźli nas na stację w Białymstoku, to czekaliśmy na samochody. Wtedy taki Popławski, który już nie żyje zaczął krzyczeć: Bandyty, zabrali ludzi od pracy. - Na imię miał Domin. Był kowalem i faktycznie do niczego nie należał. Oczywiście doształ potem za to.

Przewieźli nas na UB na Warszawską. Rozebrali mnie do naga i okładali pięściami we czterech. Ty burku ty - mówili do mnie. Bili mnie dotąd, aż im zbrzydło. Potem kazali się ubrać i zaprowadzili mnie do celi. To było tego samego dnia, gdy mnie przywieźli. W celi siedziało nas 6-8. W celi razem ze mną siedział brat "Ryszarda" - Bolek. Był też Juszkiewicz (w Długołęce mieszkał, ale to był przyjezdny). Był też jakiś Żyd.

Nie było czym jeść, bo nikt nie miał ani łyżki, ani miski, więc wszyscy jedliśmy z jednej puszki po konserwie, do której nalewaliśmy nam "bałandy".

Już więcej mnie nie bili, chociaż wzywali nadal na przesłuchania. Po miesiącu przewieźli mnie do więzienia. Tam trafiłem na pojedynek, gdzie sam spędziłem 3 i pół miesiąca. Nawet wśród klawiszy trafiali się ludzie, co prawda tylko jeden. Ten to nawet zamienił się ze mną. W zamian za tytoń, który dostawałem z domu, boojciec miał plantację tytoniu, dał MI Zapałki. Drugi to nawet w zamian za zapałki nie wziął tego tytoniu. To był dopie

ro człowiek. Widać było, że uczciwy. Jak dostałem w paczce książeczkę do nabożeństwa, to oddał mi, a przecież nie wolno było czegoś ^ktaiego robić, bo książeczki zabierali. Kazał mi tylko ją schować.

Na tym więziennym jedzeniu to tak osłabłem, że już ścian się trzymałem. W tę samą puszkę dostawało się ~~zm~~ "bałandy", w tę samą kawę i więcej nic. Dopiero polepszyło się po sprawie, bo wtedy przerwali mnie na celę ogólną. Tam było dużo znajomych i już paczki można było dostawać. Ze znajomych spotkałem tam Józka Stachurskiego, Hieronima Cylwika z Długołęki obaj. Byli też znajomi z Kruszyna. Jak przyszedłem na tę celę to tam nikt nie miał tytoniu, a ja miałem go dużo. Kto ma zapalić? - pytał jeden drugiego to dałem jednemu i drugiemu. Podszedł do mnie starszy celi: Poczęstował pan wszystkich - powiedział - ~~gm~~ do paczek jeszcze kilka dni to nie częstuj tak pan. Zdaje się, że to dużo tytoniu, ale tyle ludzi przecież. Nie częstuj tak pan wszystkich. Może tylko swoich. zresztą jak pan tam chce. - Niech palą - odpowiedziałem. - Ale starszy celi i tak powiedział, że jeden skręt jest na dwóch.

W celi było kilka prycz a reszta spała na betonie. Starszy celi położył mnie na pryczy. Wtedy jeden taki, starszy ode mnie wiekiem, mówi: To ja będę spać na betonie a on na pryczy. - Paaa- nie, pan wie ~~k~~ ile ten człowiek już siedzi - odrzekł starszy celi - pan dopiero wczoraj przysedł i pan nie wie co się dzieje. ^ZTen człowiek będzie spał na pryczy.

Tęj nocy pękły w celi kaloryfery. Starszy celi powiedział do mnie: Wierzbicki rozbieraj się - bo podłogę w celi zalewała gorąca woda i było jej już po kostki a ja nie ~~kąpałem się~~ myłem się od kilku miesięcy. Chłopaki zaraz znaleźli jakieś mydło i my-

li mnie. Dopóki przyszli do nas nareperować awarię, to chłopaki ponabierali tej wody w miski.

Spotkałem kolegę Staszka Marokowskiego, który spotkał na celi (innej) adwokata, który powiedział mu, żebym nie niepokoił się, bo dostanę nie więcej niż 10 lat. I rzeczywiście. taki właśnie wyrok dostałem. To starszy celi przez dłuższy czas nawet zwolnił mnie z dyżurów w celi.

Sądzili mnie razem z innymi kolegami ze wsi. Był m.in. Wacek Dziewiątkowski. Nie pamiętam jaki dostał wyrok. Prokurator krzychał: Z motyką na słońce porwali się, chcieli ustrój obalić i walił pięścią w stół, tak, że aż podskoczyłem na krześle. Żądał jak najwyższego wymiaru kary. Na sali siedziały nasze rodziny. Mój obrońca był z urzędu. Prosił o łagodny wymiar kary. Mówił, że nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego co robimy, że nie pełniliśmy w tej organizacji stanowisk kierowniczych, że popełniliśmy błąd wstępując do organizacji.

Do Rawicza wywieźli nas w lipcu. Upył były wtedy. W Poznaniu jak staliśmy to kobiety z wolności zdążyły nam kawy ugotować to przyniosły jej dla nas. Konwój mówił dla nich, że Niemców wiozą. Tego to też nie zapomnę, jak nas tam przywieźli do tego Rawicza. Korytarz wyłożony był (to było na pawilonie białym) kafelkami czerwono-białymi, ułożonymi w kratkę. Po obu stronach korytarza stali strażnicy i gdy szliśmy koło nich to okładali nas kluczami i krzyczeli: Gdzie na białe - człowiek skakał więc na czerwone: Gdzie na czerwone - krzychał wtedy strażnik. Niech to jasna cholera jak lelix i cały czas leli. Tak, że chyba każdy dostał, chyba, że był w środku., to może uniknął ciosów.

Z Rawicza zabrali mnie do Potulic. Tam zachorowałem. Poszedłem

łem do lekarza. Ten spytał się mnie ile do wolności jeszcze mi zostało?. Gdy powiedziałem to on na to: Do wolności może wytrzymasz - i trafiłem do Piehcina, do kamieniomów. Chorego. Tam jednak był taki zwyczaj, że naczelnik musiał osobiście widzieć każdego nowego więźnia. Oddziałowy wyczytał kilka nazwisk nowoprzybyłych i kazał iść za sobą. Nie wiedzieliśmy gdzie idziemy. Okazało się, że do ~~z~~ naczelnika~~s~~. Ja wtedy już ważyłem 60 kilo. Naczelnik gdy tylko mnie zobaczył zapytał się co mnie jest?. Powiedziałem, że chory jestem. Chodzę do lekarza, ale to nic nie daje. Nazwisko wasze? - Wierzbicki. - Odłóż^pć pałery na bok - powiedział do pomocnika. - Wezwać oddziałowego - dodał. Gdy oddziałowy przyszedł rozkazał mu: Natychmiast zaprowadzić tego ~~pana~~ do lekarza. I lekarz położył mnie do szpitala. Wtedy jak szedłem do niego, to oddziałowy z innego baraku zaczął czepiać się mnie~~s~~ tak, że w końcu chwyciłem za taboret i chciałem mu przysunąć, ale mój oddziałowy stanął w mojej obronie: On~~s~~ ma rację. Lekarz jest po to, żeby leczył i on ma takie samo prawo do tego, chociaż jest więźniem.

Po kilku dniach przyszedł do mnie kierownik szpitala i mówi, że ma dobrą wiadomość- dla mnie. Wywożą mnie do szpitala. Toż przecież lekarz nie był u mnie. Nie mam od niego skierowania do innego szpitala. - On trochę się bał wchodzić do pana - powiedział kierownik. - mam skierowanie. On wierzy, że pan jest rzeczywiście chory.

Trafiłem do więzienia kobiecego w Grudziądzu. Takich jak ja było 9-ciu. Kilku zmarło. Tam byłem operowany przez Niemkę z wolności. A cały czas mnie pilnował strażnik z karabinem. Stamtąd znowu trafiłem do Potulic.

Jak przyjechali.my do Grudziądza to chyba trzech od razu

zmarło. Jak nas prześwietlali, to jeden miał dziury w płucach takie jak orzechy. Byłem tam z rok. Wzięli mnie do pralni. ~~Mimo~~ mimo, że byłem po operacji. Taki jeden oddziało wy zainteresował się mną. Przeszkadzało mu, że nic nie robię. Na szczęście w pralni spotkałem znajomego z Rawicza, adwokata, który stanął w mojej obronie. Poszedł do kierownika pralni. Ten zaraz przyszedł do mnie i powiedział, że ja kłamię, ale kazał mi iść ze sobą do swego pokoju. Pokaż pan - kazał mi. Gdy odsłoniłem ranę przeraził się: Panie, toż to ~~jeszcze~~ świeże, jeszcze nie zagojone. Nawet gdyby pan chciał to nie dam pana do pracy. A po cóż mnie pańska śmierć potrzebna. Toż to w każdej chwili może pęknąć. - Zaraz mi kazał wydać ciepłą koszulę i kalesony. Potem zaprowadził mnie do magla i powiedział: Ten człowiek ma siedzieć. Jeśli zechce komuś złożyć prześcieradło to niech to zrobi, ale jeżeli nie to nie zaczepiajcie go. Niech siedzi.

W Potulicach ~~x~~ spotkałem kolejnego znajomego z Rawicza - Gyarczyńskiego. A ty nie chciałbyś robić z nami na powietrzu - spytał się mnie. Ich było 9-ciu i malowali różne pomieszczenia. Szef grupy to nawet kościoły malował. Jeśli będą ciebie pytali - dodał Garczyński - to powiedz, że ty malarz. No i następnego dnia każą wychodzić na korytarz i każdy z kierowników wywołuje swoich ludzi. Pada nazwisko Wierzbicki. Wystąpiłem. Jaki zawód? - podałem, że malarz. To dołączyć do tej grupy - pokazuje na mego znajomego.

To myśmy malowali mieszkania dla naczelnika, zastępcy naczelnika, kierowników stolarzy i jakichś tam jeszcze innych. Dla całej tej obsługi więziennej. Ja tam nie wykonywałem ciężkich robót, bo chłopcy wiedzieli, że ja po operacji. Przez szablon malowałem

malowałem jakieś kwiatki i inne ozdóbki małym pędzelkiem. To już lato było, to już jakieś jabłko się trafiło, szczególnie u naczelnika. Najlepiej to było jak robiliśmy u zastępcy naczelnika. Spytał się: Kto jest stolarze. Odpowiedziałem, że ja trochę się na tym znam. Trzeba mi zrobić ogrodzenie z siatki dla psa. Solidne. Mówię: To trzeba będzie piłować, musi być więc dwóch. - To panu pomoże strażnik. Tak, że chłopcy robią w pokoju a ja na podwórzu. Tego dnia żona zastępcy przyniosła mi 20 papierosów, filiżankę kakao i dwie kajzerki z masłem i kiełbasą. Ja nie chcę brać, bo dla więźnia nie wolno było a jej z kolei nie wolno było dawać. Strażnik jednak powiedział: Wierzbicki, wejdź do szopy, nic nie gadaj tylko zjedz raz dwa. A papierosy daj chłopakom, jeśli nie palisz, bo ona wszystkim nie może przecież dać. Tylko ty dostajesz. - To ona mi co dzień to przynosiła za to, że robiłem tę budę i ogrodzenie. Naczelnik był zadowolony ze mnie, z mojej pracy. I on dał mi jeszcze 20 papierosów. Na drugi dzień przyszli my do roboty. Okazało się, że jeszcze trzeba podłogę dorobić w tej budzie, bo pies podkopał się pod ogrodzeniem. Razem ze strażnikiem piłowaliśmy drzewo. Z niego to był dobry chłop. Do sadu pójdzie, jabłko przyniesie, albo jałko przyniesie i da mi. Albo tak robił: usiądzie i mówi wyciągając połamane papierosy z kieszeni: a cholera. byłem w gościach, ja nie palę a mnie nadają tych papierosów, a mnie się połamią w kieszeni i wyrzuca je na ziemię, bo jemu przecież nie wolno było nam ich dawać. Gdy odejdzie to ja pozbieram je i oddaję dla chłopaków. A on te papierosy po prostu kupował w kiosku i przekrajał nożem na połowę i tak udawał, że niby je dostał i połamały mu się w kieszeniach. Innym razem przechodzimy przez park i spotykamy inną grupę, tam pracującą. Niektórzy, jak to zwykle,

stanęli i przyglądają się nam szukając znajomych. Czego się gapicie - drze się do nich ich strażnik - do roboty. To ty się tak z ludźmi obchodzisz - mówi do niego nasz strażnik, tak, że my słyszymy - Toż on jak wyjdzie na wolność to tobie łeb ukrećci. Toż oni też ludzie. ja na swoich nie krzyczę. Jak chcą tak niech ^o rbią. Jednym słowem dobry chłop był. Dla chleba pracował.

Z Botulic wyszedłem w 1951 r.

"Stefana" Popławskiego spotkałem tylko raz na UB. Nie pamiętam już czy wtedy z kibla mnie prowadzili. Widać było na nim fioletowe pasy, może raczej czarne, tak go tłukli. ~~W~~ i
W celi obk siedział Antoni Zajkowski. Zasadzili go na karę śmierci. On był dezerterskim z wojska. Razem się ukrywaliśmy. Spotkałiśmy się na korytarzu. Ja do kibla szedłem a on stamtąd wracał. Pamiętam tylko, że na przeciwko mojej celi siedziała jakaś kobieta, która straszliwie krzyczała. Nie wiem czy była bita, czy tak chciała, żeby ją wypuścili. To było w więzieniu na Kopernika.

Spisał w sierpniu 91 r. Jerzy Kułak.